

Po programach „Anna Dymna – spotkajmy się” analizuję zadane intuicyjnie pytania i przerażona stwierdzam, że właśnie z niewidomym gadałam o kolorach, a ze sparaliżowanym o bieganiu

# Mimo wszystko

Rozmowa z Anną Dymną

– Kiedy obchodzone uroczyste Pani 30-lecie kariery scenicznej, wielu wielbicieli Pani talentu otworzyło telewizory, bo w programie było zapisane, że pojawi się Anna Dymna. Program jednak nie był o gwiazdzie sceny i ekranu, ale o niepełnosprawnych. Jak to się stało, że Pani prowadzi taki program?

– Prowadzę go cały 2003 rok. Ten rok jest ogłoszony Europejskim Rokiem Osób Niepełnosprawnych. W listopadzie 2002 przyjechała do mnie telewizja z Warszawy w sprawie mojej pracy z niepełnosprawnymi. Myślałam, że chcę zrobić reportaż o moich „aktorach” z Ośrodka dla Niepełnosprawnych Umysłowo im. Brata Alberta w Radwanowicach. Od kilku lat u boku ks. kanonika Tadeusza Zaleskiego, który jest prezesem Fundacji im. Brata Alberta, pomagam terapeutom prowadzić warsztaty teatralne.

– Za pracę w Radwanowicach odznaczona Pani została Medalem św. Brata Alberta.

– Teraz dopiero na niego pracuję.

– Dostała go Pani za już włożoną pracę.

– Ksiądz Zaleski, który jest półkrwi Ormianinem podszedł mnie po prostu „podstępem”. Wiedząc, że moja prababcia też była Ormianką na pewno podejrzewał, że jestem, przy całej swojej łagodności, zawzięta, ambitna i honorna. Dał mi ten medal na wyrost i wiedział, że zrobię wszystko, by naprawdę na niego zasłużyć. I wzięłam się do pracy. Robię z moimi niezwykłymi Przyjaciółmi spektakle, mam swój ogólnopolski festiwal.

– Pani sądziła, że telewizja chce zrobić reportaż o odznaczonej tak pięknym medalem?

– Okazało się, że chciała zrobić specjalny program, który zbliżyłby świat ludzi zdrowych do obcego świata osób chorych, kalekich, upośledzonych przez los. Pani Ania Wójcik, redaktorka z TV2 wiedziała, że mam kontakt z takimi ludźmi, że się ich nie boję, nie brzydzę, że ich los nie jest mi obojętny.

– A poza tym, że jest Pani osobą medialną.

– Tak. To bardzo ważne. Zależy przecież wszystkim, żeby taki program oglądnęła jak największa widownia. Program nazywa się „Anna Dymna – spotkajmy się”. Wiele osób z ciekawości włącza telewizory: jak ta nasza Pawlaczka teraz wygląda, a z kim to ona się tam



Anna Dymna

Jubileusz 30-lecia pracy artystycznej obchodziła na Dużej Scenie Starego Teatru, grając Babę w „Pieszko” Mrożka, w reż. K. Kutza. Krakowską PWST ukończyła w 1973 r. i od razu zaangażowana została do Starego Teatru. Podczas studiów występowała w filmach: „Nie ma mocnych”, „Kochaj albo rzuć”, „Znachor”, „Janosik”. W Starym Teatrze zagrała prawie 40 ról. Ma na swym koncie także wiele świetnych ról w Teatrze Telewizji oraz w filmie poza wymienionymi („Królowa Bona”). W domu opieki społecznej w pokrakowskich Radwanowicach prowadzi teatr, organizuje ogólnopolski festiwal ludzi niepełnosprawnych umysłowo. Za tę działalność została nagrodzona Orderem Uśmiechu i Medalem św. Brata Alberta. Dwa lata temu wymyśliła i prowadzi, ciesząc się wielką popularnością, Niedzielny Krakowski Salon Poezji w Teatrze im. Słowackiego.

spotyka? Zaczynają oglądać dla mnie, a zostają przy telewizorach dzięki moim niezwykłym rozmówcom.

– Jak Pani przygotowuje się do programów?

– Cały kształt, charakter tego programu wymyślił się z Mateuszem Dzieduszyckim. Razem wybieramy rozmówców, przeprowadzamy pierwsze rozmowy, razem walczymy o ludzkie oblicze programu. Jak tu się przygotować? Przede wszystkim muszę przed programem poznać ich losy, zdobyć ich zaufanie, przekonać, że ten program to ważna sprawa dla wszystkich. Spełniamy wszystkie ich próby i warunki. Zawsze wiem o czym nie chcą rozmawiać. Szanuję to, oni są najważniejsi. Ale zwykle pozwalają mi, a nawet proszą, by zadawać wszystkie pytania. Zawsze mogą odpowiedzieć: o tym nie chcę mówić! Często te słowa są najpełniejszą odpowiedzią.

– Jak Pani przeżywa te, często bardzo dramatyczne, spotkania?

– Mam ogromne dylematy i po każdej rozmowie wydaje mi się, że więcej ich nie przeprowadzę, bo nie dam rady. Po programach nie śpię, analizuję zadane intuicyjnie pytania i przerażona stwierdzam, że właśnie z niewidomym gadałam o kolorach, ze sparaliżowanym o bieganiu, z chorym psychicznie o zdrowym umyśle i gryzę się czy mi było tak wolno? A potem dostaję listy. I od chorych i zdrowych.

– Co piszą do Pani?

– Czasami nawet trudno w to uwierzyć, co czy-

by pomagać konkretniej i mądrzej. Wiele osób chce pomagać, tylko nie wie jak. Nawet mają pieniądze, ale boją się zaufać dużym, nieznanym fundacjom. Piszą, że mam dobrą „twarz”, która daje im pewność i gwarancje, że ich pomoc dotrze do tego, kto jej naprawdę potrzebuje.

– Dlaczego Pani nie założy fundacji mając taki kredyt zaufania?

– Właśnie od kilku tygodni jestem prezesem małej jednoosobowej fundacji. Bardzo długo się zastanawiałam i wahałam. To ogromne wyzwanie. Mam już biuro, telefon, puste konto w banku, kilku przyjaciół, dużo energii i kilka konkretnych projektów. Teraz stawiam pierwsze kroki i właściwie nikt jeszcze o tym nie wie. Dopiero 12 grudnia na konferencji prasowej, przed galą wolontariatu, chcę zawiadomić świat o moim przedsięwzięciu. Właśnie moja fundacja jest skromnym współorganizatorem tej pięknej uroczystości, która odbędzie się w Teatrze Słowackiego 21 grudnia. Podczas koncertu nagradza się, zgłoszonych do konkursu, najwspanialszych wolontariuszy z całej Polski.

– Czym się fundacja będzie zajmować?

– Przede wszystkim muszę uratować od bezradności 30 podopiecznych z Radwanowic, którzy stracili, na mocy nowej ustawy, prawo do korzystania z warsztatów terapeutycznych. Kiedy taki biedak nie chodzi do tej swojej pracy (jak to nazywają), traci sens życia, czuje się niepotrzebny i powoli umiera. Naprawdę nie wystarczy mu „miska” i miejsce do spania. Chcę utworzyć dla nich warsztaty teatralne, krawieckie, malarskie, z czasem może muzyczne. Dostałam w Radwanowicach trzy pomieszczenia. Muszę je wyremontować, wyposażać, zatrudnić pięciu terapeutów i już! Trochę to kosztuje. Może wygląda to na razie nierealnie, ale właśnie obmyślam jakiś system, by móc systematycznie pozyskiwać pieniądze na ten cel. I wierzę, że mi się uda!

– Jaką nazwę dała Pani swojej fundacji?

– Fundacja „Mimo wszystko”. I to nie jest przypadek. Bardzo długo się zastanawiałam nad nazwą. „Mimo wszystko” to jest taki tekst wryty na jednym z przytułków dla bezdomnych w Kalkucie. Jest to najmądrzejszy tekst jaki czytałam o pomocy innym.

Rozmawiała

Maria de HERNANDEZ-PALUCH